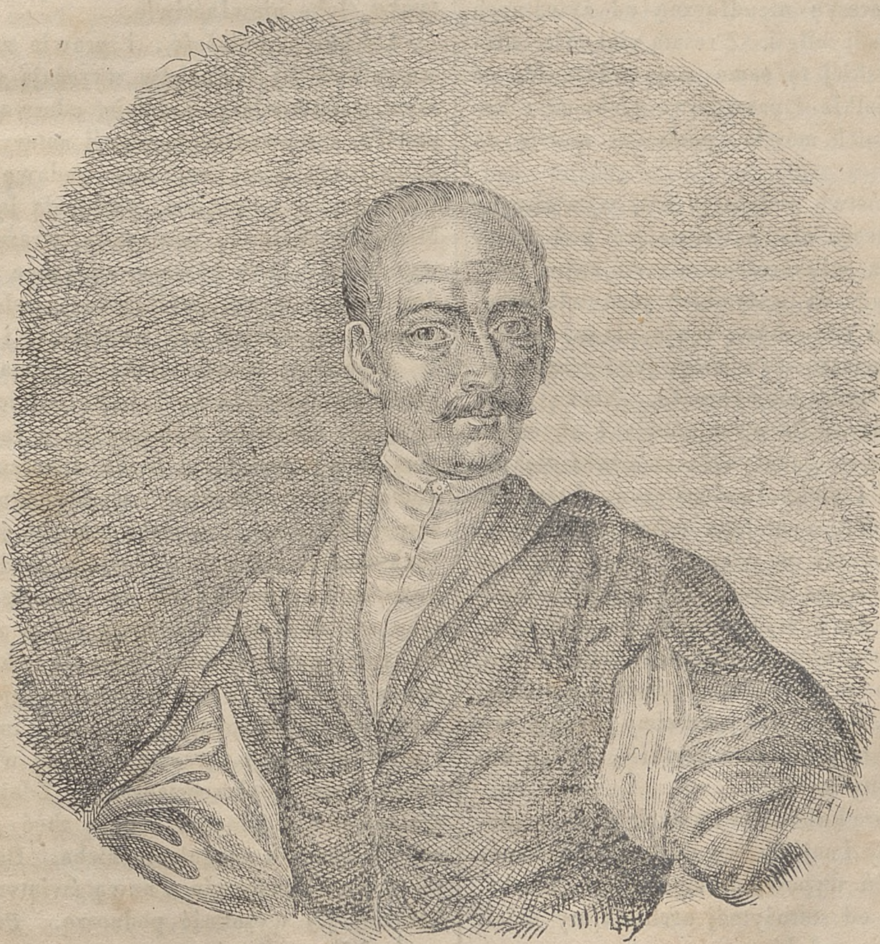
Nr. 29. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 17. Lipca 1847.*



Michał Janowski,
malarz krakowski z 18go wieku.

O architekturze chrześciańskiéj.

Ludzie znamienitych talentów wiele trafnego i wzniosłego powiedzieli już o sztuce chrześciańskiéj; to jedno powinnoby mię wstrzymać od zaczepiania tak poważnéj i trudnéj materyi. Z tém wszystkiem mając na uwadze grubą nieznajomość, tak pomysłów ogólnych jak samego przedmiotu, dającą się u nas postrzegać, nieznajomość pochodzącą nie z jakiéjś przyrodzonéj nieudolności, lecz bardziéj ze zobojętnienia ku głębszemu badaniu wiary katolickiéj, i rozwijaniu onejże na wszystkich punktach i kierunkach, znaglonym się widzę rzucić choć kilka postrzeżeń nad naturą i bogactwem sztuki chrześciańskiéj. Nie roszcząc sobie prawa do jakichś nowych postrzeżeń, nie lękam się zapuszczać w przedmiot tak wysoki, mniéj jeszcze pragnę mówić o sztuce dla sztuki; dość dla mnie, jeżeli baczność czytelnika podołam zwrócić na tę materyę nieodłączną od żywotnych pojawów naszéj religii. Z resztą piękności sztuki chrześciańskiéj tę samą mają własność, co wszystkie wielkie i prawdziwe piękności: każdy może o nich mówić, ponieważ mówią do każdego.

Chrześciaństwo podnosząc nas, wywyższyło wszystkie rzeczy niższe, zostające pod naszą władzą. Raz zakorzenione w sercu człowieka, rozciągnęło się do wszystkich jego zdolności, do wszystkich stósunków, zgoła, do całego zewnętrznego świata, ożywionego jego geniuszem. Nic niema, czegoby nie ogarnęło. Nauką i moralnością opanowało wyobrażenia i obyczaje; przez wyobrażenie wpłynęło na sztuki piękne; a przez sztuki piękne na materyą, którą również odkupiło, i niejako schrystianizowało. Słowem, co zaszło w porządku objawienia, to samo miało miejsce w porządku natury: niewidome odbiło się w widomém, i chrześciaństwo stworzyło *nową ziemię*, objawiając *nowe niebo*.

Na téj drodze postrzeżeń, najpierwsza rzecz, która uderza, i na którą zwrócimy uwagę, jest architektura, ta „królowa sztuki“, jak ją nazwał znakomity poeta.

Architektura kościołów naszych tchnie w sposób najprostszy i najśmielszy duchem chrześciańskim. Kamień wypowiada myśl chrześciańską. Dla tego też od starożytnéj architektury dzieli ją przepaść nie zgłębiona.

Budowle te kierunek mają do góry, kolumna wspina się na kolumnie i w tém główne znamie ich charakteru. Świątynie starożytne zajmowały wiele miejsca, lecz w przestrzeni horyzontalnéj. Zdawałoby się, że wzrok ludzki nie wznosił się wówczas ku niebu. Podnosząc spojrzenie, chrześcianizm musiał podwyższyć sklepienie świątyń. Dążność ta wszędzie jest widoczną. Wieże tumów naszych zmuszają nas niejako odrywać wzrok od ziemi, i kierować myśl ku wyższym światom.

Chrześcianizm zachowując nawet styl starożytny, nagiął go ku téj myśli w sposób bardzo wyraźny. Wydął sklepienia, i z tąd powstała kopuła. Kiedy Michał anioł na widok Panteonu zawołał: „Postawię go na powietrzu!“ wtenczas ożywiał go duch chrześciański; i ta sama wiara, któréj było dane znosić góry, ta sama wiara dokonała przezeń tego cudu.

Lecz nigdzie bardziéj nie rozwija się myśl chrześciańska, jak w architekturze zwanéj *gotycką*, lubo niewłaściwie.

Lekkość, śmiałość, i prawie zuchwałość wszystkich jéj kierunków wyrażają w najwyższym stopniu wiarę, nadzieję, oderwanie się od padołu, i wywyższenie naszéj natury. W budownictwie greckiém, całą budowę dźwigają kolumny; w gotyckiém, porywają ją do góry. Mała ich objętość, powiększa wrażenie o ich wysokości. Owe kolumny związane w pęk jeden (żywy wyraz katolicyzmu wielości w jednocie) wyskakują jak wodotryski i gubią się w sklepieniu bezpowrotnie. Niéma tam nagłówków (kapitelów), któreby pęd ich wstrzymywały: albowiem kolumny te, a raczéj pręty, giną w wysokości. A oweż sklepienia jakże osobny noszą charakter? w architekturze starożytnéj sklepienie (w stylu greckim jest to połup) stanowi jedna linia łuczasta, spadająca z obu stron i opierająca się na gzymsie. W gotyku zaś dwie linie zbiegają się w swoim locie, dwie parabole krzyżujące się, z których żadna nie wraca. Taka *ożywa* dodaje do dziwnéj wysokości gmachu wysokość imajnacyjną i nieokreśloną, a zarazem dobitnie wyraża odrębną dążność chrześciaństwa. Zdaje się, że samym nawet głazom nadaje chęć oderwania się od ziemi, a pragnienie nieba. Boczne części w przeciwieństwie z nawą świątyni, jeszcze bardziéj jéj wysokość podnoszą. Pomnażając rzędy kolumn, i *ożywy*, urozmaicając ich krzyżowanie się za każdym krokiem, tworzy się

dla myśli tajemniczy labirynt, który ją pociąga, i w którym czerpie uczucie nieskończoności. Uczucie to wywija się z mnóstwa koronkowych rzeźb i ozdób, nużących prawie uwagę, oczyszczających niejako kamień z jego przyrodzonéj martwoty, i zamieniających budowę nie w jakieś dzieło materyi, lecz w skamieniałość duchową. Godła teologiczne, przedstawiane w rzeźbie, przyczyniają się do czarodziejskiego uroku; myślałbyś, że to świat niewidomy schwycon w swéj tajemniczości, tak cała dusza przylega do niego. — Cóż dopiéro powiedzieć o tém mnóstwie kaplic i zakątków przyjaznych dumaniu, pokucie, trwodze, miłości, które zmordowane serce zapraszają do wytchnienia, do oderwania się od ludzi, a zbliżenia się ku Twórcy? W reście czarodziejski urok szyb ozdobionych brylantowémi barwy, mistyczne malowidła, wszystko to rzuca jakiś odblask nadprzyrodzony; a kiedy jeszcze słońce wschodzące lub zachodzące strzeli przez nie promieńmi, skąpie się w barwach i rozsieje takowe po wnętrzu kościoła; natenczas rzekłbyś, że patrzysz na owe Jeruzalem niebieskie, o którém mówi Apostoł, pałające od złota, diamentów i rubinów.

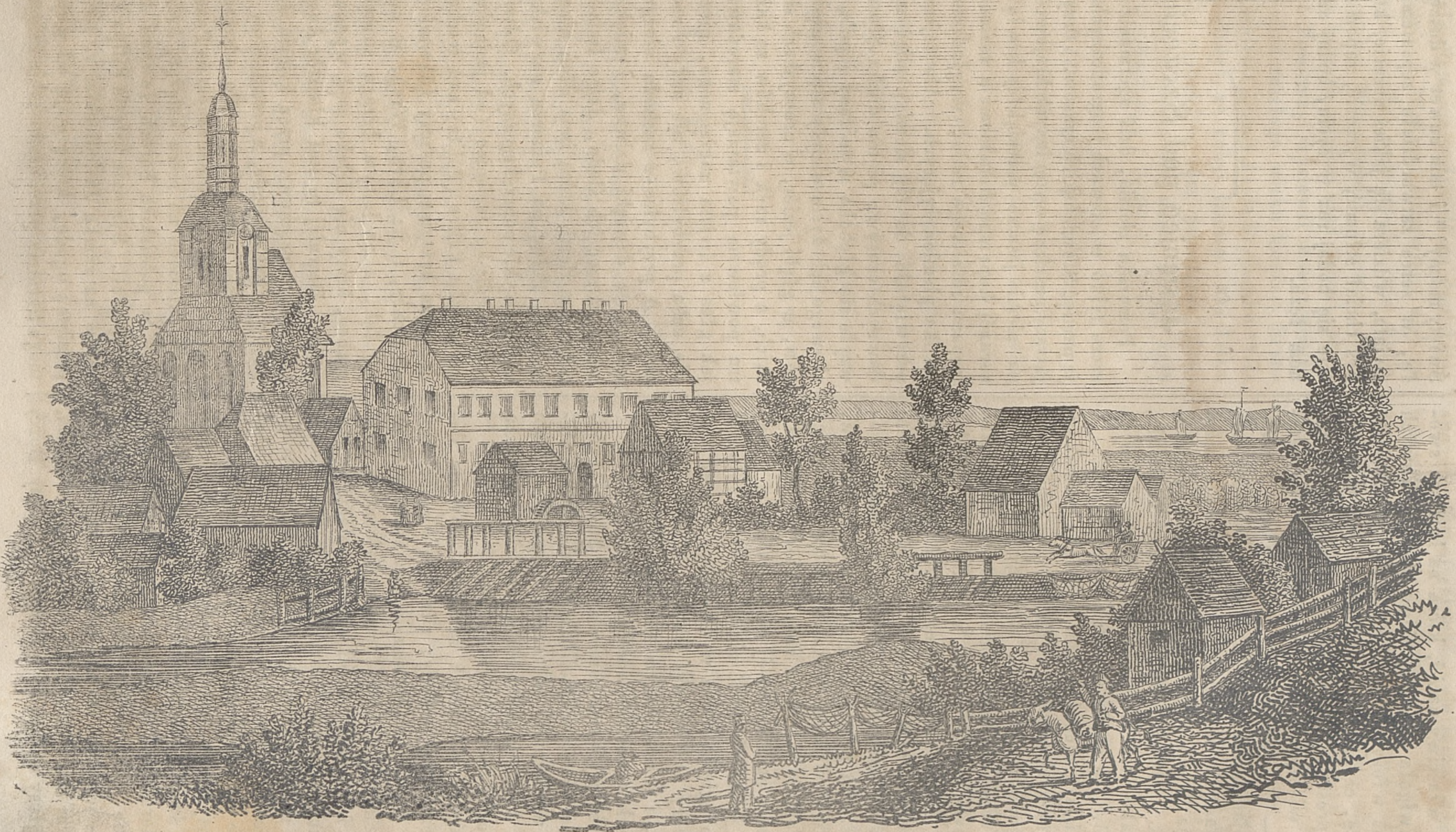
Taką jest architektura chrześciańska; utwór prawdziwy i pierwotny, w niczém nie podobny do wzorów architektury starożytnéj. Byłoby zaiste dziwactwem zaprzeczyć piękności starożytnym budowom, zwłaszcza, jeżeli zostają na swojém polu; zamiłowanie się w samym gotyku nie dowodziłoby szerokiéj wielostronności smaku. Lecz to przyznać potrzeba, że architektura starożytna ma łączność z wyobrażeniami tylko ziemskiémi, zmysłowémi, ograniczonémi. Gniecie ziemię i przywiązuje się do niéj, jako do jedynéj ojczyzny. Jéj rozmiar symetryczny, czystość linij, i owa harmonia całości, którą jeden rzut oka ogarnia, która spojrzenia nie trudzi, nic mu nie zostawia do życzenia, do odgadnięcia, wyraża tylko zadowolenie z tego, co jest, jakąś błogość bezwarunkową, spokój doczesnego bytu; ani krok w tył, ani krok daléj. Dla tego najlepiéj przypada dla teatru, giełdy, lub pałacu magnata. Przeciwnie odpycha, obraża, depce wszelką boleść, ofiarę, nadzieję, nieśmiertelność; zgoła każdą dążność duchową i moralną, nie kończącą się na tym padole, a czyniącą człowieka wielkim i boskim. Jakżeż dziwnie odpowiada architektura gotycka tym dążeniom duchowym! Ona je tylko wyrazić, ona je natchnąć może. Pęd jéj ku niebu, potęga i lekkość rzutów, nieokreśloność kształtów i kierunków, tajemnicza i zmieniająca się głębia jéj perspektyw, ów ogrom posępny, rozlegające się echa, zgoła, wszystko uduchownia tam duszę, zrywa więzy ziemskie, i rodzi w nas przeczucie nieodgadnione jakiéjś lepszéj przyszłości, wartéj największych cnót i najświętszych ofiar.

Z resztą, czyżby mogła architektura chrześciańska nie wypajać podobnych myśli i uczuć, kiedy sama niczém nie jest tylko żywym objawem i tłumaczem onych? Świątynie greckie, są wyrazem osobistego smaku, zostającego na koszcie władzy; pomniki Egipskie noszą piętno siły zwierzęcéj i niewolniczéj; przeciwnie kościoły chrześciańskie są wynikiem siły duchowéj, zbiorowéj, społecznéj, wznoszącéj bez przymusu i z całą miłością dzieło przeznaczone na chwałę bożą. Czujesz tam niejako krążące soki mistyczne, czerpane we wnętrznościach wiary katolickiéj. Zdawałoby się, że to nie ręce budowały, ale wyobrażenia, a serca służyły za cyment; przysiągłbyś, że te głazy ożywiły się tchnieniem wiary całego ludu, i że same kładły się na miejscach swoich przy odgłosie nabożnych pieni.

Takie, i tym podobne uczucia i myśli wzbudza widok chrześciańskich pomników w Niemczech, Flandryi, we Francyi i innych krajach, gdzie wiara szeroko pojmowana, głęboko uczuta, szukała wymownego tłumacza w materyi trwałéj i niepożytéj wiekami, to jest w kamieniu. Porównywając te dzieła sztuki zachodu i południa z ubóstwem naszéj ojczyzny, rozwijającéj się przez dziesięć wieków w duchu powszechnego kościoła, mimowolnie nasuwa się pytanie, dla czego nie możemy się również poszczycić pomnikami noszącémi tak wysoki charakter, jak pomniki gotyckie? Dla czego sztuka chrześciańska nie rozwinęła się u nas pod dłutem, ani pod pędzlem?

Czy żeśmy nie odziedziczyli tradycyi sztuki od starożytnych, czy też wiara tak słabe zapuściła korzenie, że naród nasz nie był zdolnym nic tworzyć, i tylko obchodził się obcymi mistrzami, lub naśladował postronne wzory? Na to mniemam, dzieje narodu najwymowniejszą dadzą odpowiedź; kto się wpatrzy w karty naszéj historyi, uderzy go nieustanna praca rycerstwa pełniącego straż chrześciaństwa; ciągły

żywot na koniu lub w obozie, odpieranie najazdów pogańskich Prusaków, Litwinów, Tatarów, Turków; nie dały swobodnie rozwijać się sztuce chrześciańskiéj. Ślachta, która nosiła w sobie skarb oświaty i ducha chrześciańskiego i narodowego, obchodziła się bez świątyń z cudnie ciosanych głazów, pod namiotami, lub gołém niebem, odprawując nabożeństwo, myśl swą wytężała nie na rzeźby mistyczne; nie barwiła jéj odblaskiem szyb różnokolorowych, nie puszczała się po cienkich słupkach na szczyt wieżyc gubiących się w obłoku, bo to było zatrudnienie ludzi spokojnie dumających, zaczytanych w mistycznych legendach, ludzi nareście, którzy skarby umysłowe, żywotność swą, musieli w coś włożyć, aby nasycić pragnienie twórczości; — przodkowie nasi szerzyli chwałę boską, odpierając mieczem ciemnotę i barbarzyństwo; pobojowisko zlane krwią, mogiła z kości usuta; to nasze pomniki, to świątynie. Ta a nie inna strona sztuki chrześciańskiéj pojawia się w dziejowém życiu narodu. W domowéj zaciszy mieszczana lub wieśniaka, sztuka zostawia ślad, lubo dziecięcy, jednak nie bez charakteru. Mieszczanin, najwięcéj osiadły przybylec, sprowadza lub z swego łona wydaje mistrzy, którzy naśladując Nadreńskich architektów, przyozdabiają nasz kraj kilkoma świątyniami w smaku gotyckim; lecz pozbawieni materyału, jakiego gdzie indziéj dostarczały niewyczerpane łomy kamienne, zastępują go cegłą. Praca mozolna i nierównie sztuczniejsza! jakiéj to potrzeba było dokładności, jak ścisłych wymiarów, aby kładąc cegiełkę na cegiełce, wyprowadzić owe cieniuchne słupki ginące w owalnych sklepieniach, lub zastąpić fantastyczne ozdoby w nagłówkach i gzymsach! A jednak po dziś dzień świątynie te stoją, z wiekiem każdym silniejsze, bo zdaje się, że te drobne cegiełki zrosły się w jednę miazgę. Kościoły Krakowskie, Wileńskie, Toruńskie, świadczą o tém wymownie, i nie przestają tworzyć osobnéj karty w dziejach budownictwa naszego, które, aczkolwiek myśl zaczerpnęło z obczyzny, wyrobiło sobie pewien miejscowy i wiekowy charakter, a nawet szczyciło się architektami, którzy imie swe unieśmiertelnili, jeźli nie u nas, to w krajach postronnych; wszakże Oktawian, Wolcner, Krakowianin, powołany był do Wiednia w 12. wieku, dla budowania kościoła Ś. Szczepana, liczącego się dziś do pomników gotyckich piérwszego rzędu. — Drogie są to zabytki oświaty naszéj średniowiecznéj i kunsztu, lecz nie w nich to właściwie mieści się wybitne piętno ducha narodu. Zstąpmy raczéj do wiejskich kościołków i kapliczek. Polska lesista i rólnicza musiała budować stósownie do swojéj możności, przestając na materyałach, jakie miała pod ręką. Nie było ciosowego kamienia, natomiast niepożyty wiekami modrzew dostarczał tramów i desek. Styl budynku zwykle prosty, jak wiara ludu; niekiedy spotykałeś słupki i belki rzeźbą okryte; lecz rzeźba ta, dzieło wiejskiego cieśli, nie przedstawiała żadnego symbolu, ani zostawała w związku z planem budowy; było to coś niższego nawet od rzeźb na maczugach dzikich wyspiarzy południowego morza, a zgoła nie mogło się równać z ozdobami w świątyniach Norwegskich, które, jak to dziś z rysunków widzimy, i jak to Olearius przed dwiestą laty uważał, wiele mają podobieństwa z budową cérkwi na naszéj Rusi. — Sztuka chrześciańska, jak powiadam, nie rozwinęła się u nas na drodze rzeźby, architektury i malarstwa; pobożny wieśniak, pamiętny swojéj słowiańsko-pogańskiéj przeszłości, kiedy pod gołém niebem, na szczycie gór, u szemrzących krynic, lub w gęstwie borów, bożkom swoim składał obiaty, przechował tę samą miłość natury jeszcze do czasów dzisiejszych. Patrzmy: Malutki kościołek lub kapliczka, że ledwo czwartą część parafian obejmie, stoi ocieniony staremi lipy, lub wiązy, a trzy części ludu słucha nabożeństwa na dworze; ołtarz od dołu do góry ustrojony gałęźmi bzów, kalin, jarzębin, głogów, i różnobarwnemi wiéncami kwiatów; podłoga i wszystkie ścieżki wysypane szuwarem, czyli Tatarskiém zielem; na Boże ciało święcą wianuszki rozchodnika, które mają strzedz od burz i piorunów; na Najświętszą Pannę zielną, całemi snopami przynosi lud kwiaty i zioła, i poświęcać je daje dla bydła; wiliję Bożego narodzenia pożywa na sianku, w towarzystwie czterech snopów zbożnych, ustawionych w rogach izby; a w Nowy rok ziarno rzucać ci przychodzi pod nogi. Każda uroczystość kościelna, każde religijne wyobrażenie gminu, znachodzi tłumacza swego, swój symbol, w utworach téj nieśmiertelnéj mistrzyni, którą zowiemy naturą. Dla tego téż rzadki to fenomen w dziejach sztuki chrześciańskiéj; część narodu oświécona, stano-



Jasienice pod Szczecinem.

wiąca właściwy naród, która na barkach swoich dźwigała państwo, niéma czasu myśli swych i uczuć włożyć w sztukę; bo, że się zwięźle wyrażę, czynami chwali Pana Boga; a znowu gmin prosty silnie trzyma się swojéj staréj tradycyi wielbienia Boga w otaczającéj go naturze. — Z tych dwóch przyczyn my Polacy, w dziejach sztuki chrześciańskiéj zajmujemy kartę dotąd nie zapisaną; co wszakże nie przeszkadza, abyśmy jéj zapisać nie mieli pomnikami tak wielkiemi, jak który minster Nadreński, jak malowidła Wan Eyków, Giottów i innych mistrzów, co zamknęli sztukę chrześciańską.

Dzisiaj, niepoświęceni dziedzice pomników wiary naszych przodków, nie będąc w stanie tworzyć podobnych dzieł, starajmy się przynajmniéj mieć dla nich poszanowanie, nawiedzać je w tym samym duchu, w jakim były zbudowane, i jaki dotąd je napełnia! Chwytajmy głos wydzierający się z ich sklepień, kolumn, i z płytów kamiennych, wytartych kolanami modlitwy: jest to wielki głos minionych wieków, głos świętobliwych pokoleń, które wzniosłszy te świątynie w całym zapale wiary, pokładły się tam z nadzieją swéj nieśmiertelności i zdają się jeszcze błądzić niewidzialne, i skłaniać nas do ugięcia kolan w obec tego samego Boga, który był niegdyś ich siłą, a dziś ich nagrodą, i przed którym my sami musimy zdać rachunek z naszego odstępstwa.

Jakże wybornie powiada pani Staël: Wchodząc do kościoła katolickiego, nie można nieuczuć wzruszenia, rodzącego błogość w głębi duszy, która, jakby oczyściwszy się w świętém miejscu, czuje się silną i czystą.

Niémasz duszy tak zepsutéj, aby nie doświadczyła téj prawdy; zdarzało się, że taki, co się opierał najprostszym dowodem prawdy chrześciańskiéj, ulegał temu zbawiennemu wrażeniu, i wynosił z krótkiego wstąpienia w progi kościoła ziarno wiary, które w późniejszym czasie naprowadziło go na drogę prawdziwego nawrócenia się. Lecz ażeby poczuć to zbawienne drgnienie ducha, czyliż potrzeba świątyń gotyckich, ozdobionych całym przepychem sztuki średniowiecznéj? Potrzebaż tych szyb różnokolorowych, tych tajemniczych kaplic, gubiących się jakby w gęstwinie kolumn? Niesądzę — i w wiejskim modrzewiowym kościołku, zasypanym kwiatami, gdzie nawet organu niéma, tylko głosy chłopków śpiewają: „Święty Boże, Święty mocny!“ i tam nawet w duszę zwątpiałą, w serce zatwardziałe zepsutémi naukami świata, wdziera się jakieś uczucie, które, choćbyś chciał stłumić, wyrzucić, zapomnieć, oderwie się bodaj raz w życiu, bodaj na śmiertelném łożu.

L. S.

Jasieniec pod Szczecinem.

Pomorska ziemia, dziś zgermanizowana, jeszcze tylko w nazwach jeograficznych dochowuje pamięć Słowiańskich czasów. Przybylec, objąwszy puściznę wytępionych krajowców, osiadł na ziemi jeszcze przesiąkłéj krwią Słowian, zoranéj kopytami końskiemi a zasianéj białemi trupami rólniczego rodu, wygładzonego z pośrodka plemion żyjących. Ale tajemnicza siła przywiązała do téj ziemi pamięć niewygasłą dawnych czasów; piętno ducha Słowiańskiego wryło się głęboko w te łany i pola, ślady duchowego ich życia ukryły się w gęstwinie borów, w głębi jeziór, w uroczyskach siół Pomorskich, a prądy rzék i zatoków za każdym wiatru powiewem powtarzają starodawne miano, jak głos z świata zaginionego, niezrozumiały dla ucha przybylców, ale miły i znany sąsiadom. A przybylec z zachodu niezgrabnie powtarza te dźwięki dziwne, i miękkie, i nie zdoła zatrzeć ich śladu, dając świadectwo, że zbiera na ziemi, którą inna dłoń niegdyś uprawiała. Pełno na Pomorzu nazwisk Słowiańskich, zwykle poprzekręcanych. Odwieczne Słowian siedlisko Jasieniec (od jesionów) poniżéj miasteczka Police (Pölitz) nad wschodniopołudniowym brzegiem puszczy (ükermünder Heide od Ücker, t. j.: Ukra, Wra), w nizinie pełnéj łąk, a na lewym brzegu strumienia Ahlgraben, który nie daleko ztąd wpada w Papią wodę. Dawniéj tu stał klasztór Augustyanów, założony początkowo przez księcia Barnima (r. 1266) w Uckermünde, a przeniesiony do Jasieńca i bogato wyposażony. Po odszczepieństwie Lutra r. 1535, zaprowadzoném na Pomorzu, klasztór zniesiono na rzecz książąt, którzy tu, ile razy w poblizkich borach łowami się bawili, wstępowali. Synowie księcia Filipa I. na Wołgaście na zamku Jasienieckim r. 1569 zawarli pamiętną ugodę, którą mają od wuja bezdzietnego Barnima przekazane sobie księstwo Szcze-

cińskie, całe Pomorze podzielili na dwa księstwa, Szczecin i Wołgast stanowiąc, aby na więcéj części nigdy podzieloném nie było. W czasie wojny 30sto-letniéj zburzono stare gmachy, na których miejscu rząd Pruski, objąwszy część Pomorza, wystawił nowy zamek, który na końcu zeszłego wieku księżnéj Brunświckiéj Elżbiecie (żonie króla Fryderyka Wilhelma II.) służył za pobyt latowy. Od kilku lat Jasieniec poszedł w ręce prywatne. Znaczna wieś ma przeszło 500 dusz, którzy żyją najwięcéj z rybołóstwa i żeglugi.

Widok załączony wystawia po lewéj stronie część wsi Jasieńca, po prawéj część przytykającéj wsi Duchowa, pomiędzy któremi ciągnie się strumień Ahlgraben i sadzawka. W środku widać kościół, którego mury są dawnego klasztoru zabytkami; obok kościoła zamek z dwu stron otoczony pięknym ogrodem. Daléj ciągną się łąki i płynie Papia woda, niosąca okręty. W dali aż do poziomu widać łęgi (łuki, ługi, boroliny), t. j.: błotniste zarośla pomiędzy rzeczkami Iną i Krępą.

Dr. *N.*

Leon Borowski.

(Ciąg dalszy.)

Tak zniknął nam z przed oczu zacny, gruntownie uczony i przez lat tyle rzetelnie pożyteczny człowiek! tak zgasło z nim jeszcze jedno światło, z pozostałego, szczupłego już grona świateł, stanowiących niegdyś chlubę i zaszczyt uniwersytetu! Cicho w jego mogile, jak cicho w mogiłach tylu tysięcy zwyczajnych ludzi, przed nim i po nim zgasłych, ale piśmienne umysłowych zdolności świadectwa, tyloletnie dla dobra ogólnego podejmowane trudy, ślad jego bytu na téj ziemi utrwalą, bo taka jest zawsze potęga wznioślejszego ducha, taka nagroda chociażby najskromniejszéj, lecz prawdziwéj, dla dobra innych korzystnie podejmowanéj zasługi.

Przebiegłszy pokrótce cały ciąg pracowitego jego żywota, przypatrzmy się mu z kolei bliżéj, jako człowiekowi i ojcu rodziny, a nakoniec wspomnijmy o nauczycielskiéj dążności i pozostałych pismach jego.

Był Borowski wzrostu miernego, twarzy szlachetnéj, okazującéj widocznie cechę wyższości i powagi, które wewnątrz swéj duszy moralném ukształceniem zaszczepić umiał. Portret jego, staraniem wdzięcznych uczniów akademii duchownéj (dnia 28. Czerwca 1837 roku) przez Karola Rypińskiego zrysowany i litografowany, trafne przedstawia podobieństwo. Czoło miał wyniosłe, wzrok słaby, ale pełen wyrazu. Obyczajów zacnych, zupełnie godności akademickiego stanu odpowiednych, w obcowaniu, zwłaszcza z bliższymi sobie, wesoły i łatwy; wrodzonym dowcipem ożywiał towarzystwa. Wychowany za młodu, jakeśmy powiedzieli, na dworze wojewodziny Chomińskiéj, późniéj zostawszy nauczycielem w szkołach Świsłockich, założonych staraniem Referendarza W. X. L., Wincentego H. Tyszkiewicza, częstym a zawsze pożądanym bywał gościem u tego dygnitarza, spokrewnionego z królem, i w obu tych znakomitych domach, nabył owego poloru i ogłady, tyle w spółecznym stósunku ujmujących i miłych! Zawsze był na to ściśle baczny, aby nikogo nie obrazić, aby niczyjéj, ile można, nie dotknąć drażliwości: jeśli zaś kiedy dostrzegł, iż żartem swoim lub uwagą zadrasnął czyjąkolwiek miłość własną; wnet to uprzejmością i dobrocią wynagrodzić się starał. Wszakże jako człowiek wyższéj wartości i charakteru, nawykły sumiennie spełniać swe obowiązki, nie mógł nie mieć niechętnych sobie. Sam trudny urząd cenzora, przez tyle lat piastowany, musiał wyrażać dlań mniéj przychylnych, zwłaszcza pomiędzy tymi, którzy bez poprzedniczego, koniecznego przygotowania, bez istotnego, że tak powiémy, namaszczenia, i gwałtem wcisnąć się pragną do świątyni nauk, albo, co pospolitsza, wedrzeć się na zbyt stromą, zbyt dla nich ślizką, i na ich wątłe siły niedostępną helikońską górę. Dla tych bywał może czasami surowym, nieubłaganym sędzią, czyniąc to atoli jedynie w obronie dobrego smaku i rzetelnéj umiejętności. Do żadnego stronnictwa nigdy wciągnąć się nie dał, przekładając nad wszystko niezależność, tak niezbędną każdemu, pragnącemu ślubować całe życie swoje naukom. Stąd wynikło, że w ostatnich czasach gasnącego uniwersytetu, kiedy w koło niego zawrzały różnego rodzaju namiętności; on, uchyliwszy się z godnością od zgubnego ich wpływu, potrafił z kilku innymi zjednać dla siebie szacunek powszechny, i wynieść chlubne

świadectwo, czystego, niczém nieskażonego sumienia.

W domowém pożyciu, był dbałym gospodarzem i mężem; lubiąc umiarkowanie we wszystkiém, zgadzał wydatki swe z przychodem i nigdy nad zakres skromnego, raz zaprowadzonego sposobu życia, nie wyszedł. Dla dziatek był troskliwym i czułym ojcem, rozumnie je, bez zaślepienia i zgubnych pieszczot wychowywał, a tych, które pod jego okiem z dziecinnego w młodociany wiek rozkwitnęły, stawał się tkliwym, wzbudzającym ku sobie największą ufność przyjacielem. Z braćmi, krewnymi, oraz innémi blizkiémi serca swojego osobami, stały, niezmienny aż do zgonu, zachował przychylności stósunek. Słowem, w poufałych ku sobie życzliwość i miłość obudzić, a u wszystkich szacunek dla siebie zniewolić umiał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do A. D.

Kto gad brzydki zmiata z cierni,
Wdank odbierze ból i krew;
Kto w niewieściéj serca czerni
Tchnąć chce życie, zyszcze gniew.

Im tak dobrze we śnie gnić,
Mar się sennych blichtrem łudzić;
A ty ich do życia budzić
Chcesz, i sama ty śmiész żyć!

Oni na cię błotem rzygną
Z kałuż brudnych piérsi swych;
W każdym kroku cię dościgną,
Jak złowrogi wrzask i śmiéch.

Śmiéj się z śmiéchu czaszek ciasnych,
Ból szyderstwa mężnie ścierp;
W żarze piersi twoich własnych,
Do wytrwania siły czerp.

Bo dzień wielki odrodzenia
Za rozpaczą idzie tuż;
Tak jak słońce, co z płomienia
Krwawych zawsze wstaje zórz.

Roman Z.

Text do *Nru.* 203.

Oj dana dana dana,
Oj cóżeś mi za dama;
Oj kiedyś mi nie dała,
Oj konikowi siana.

№ 203. *Wieś Przysucha*

Oj dana dana dana oj cóżeś mi za dama Oj kiedyś mi nie dała oj koni kowi siana Oj sianaś
mu nie dała oj obro ku żałujesz Oj cóżeś mi za dama co mnie nie szanu jesz szanujesz.

Oj sianaś mu nie dała,
Oj obroku żałujesz,
Oj cóżeś mi za dama,
Co mnie nie szanujesz.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)